Romantycznych poetów listy – hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część

2.



Fot. Pixabay

Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.

*

Adam Lizakowski *(Chicago/Pieszyce)*

C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza

Szanowny i Wielmożny Panie –

Będzie już trzy tygodnie jak Pański list odebrałem, dziękuję za niego a mnie już rok dobiega mojej obecności w Chicago i wciąż nie mam odczucia, że Ameryka w jakimś stopniu mnie dotyczy, bo praca wśród Polaków i z Polakami na to nie pozwala. Nie mogę jak Kolumb krzyczeć: Ziemia!!! Ziemia!!! Mówią tutaj tylko po polsku, po francusku, czy włosku prawie wcale, nie licząc okazji do rozmów z emigrantami, a więcej używam niemieckiego niż angielskiego. Ale nie czuję się jak Owidiusz na wygnaniu w najdalszy zakątek imperium. Wszakże na własne życzenie stałem się zapomnianym przez ludzi, ale nie przez Boga. Znowu poszedłem coś zjeść do karczmy prowadzonej przez rodaków i najedzony z notatnika kartkę wyrwałem i na niej piszę do Pana, wcześniej na drugiej stronie coś tam szkicowałem, ale tego nie dokończyłem.

Moje życie codzienne to praca i towarzystwo przybyszów z Polski, których tutaj pełno, bo do rzeźni w pracy blisko, ale i do wysypisk śmieci miejskich też nie daleko. Moja sytuacja ekonomiczna pogorszyła się ze względu na chorobę ręki, którą to sobie w Nowym Jorku uszkodził i teraz daje mi się we znaki. Do pokoju, z którego byłem taki zadowolony wziąłem wdowę z trójką dzieci, która wcześniej z innymi Polakami pokłócić się zdążyła i już prawie na ulicy wszyscy spali. Brak w naszej społeczności nie tylko w Ameryce, ale i w Europie tej prostej ludzkiej życzliwości

wobec drugiego człowieka, nie wspomnę już o trosce i miłości bliźniego jest przyczyną wielu tragedii. Kłótnie między rodakami są okropne i wszyscy na tym tracą okrutnie, egoizm, brak poszanowania drugiego człowieka bierze górę nad rozsądkiem i chrześcijańskim podejściem do życia, bo Polak Polakowi wilkiem. ***Homo hominy lupus*** jak mawiał angielski filozof Thomas Hobbes, tak jak my przez długie lata w Paryżu żyjący.

A serce wypełnione chrześcijańską miłością trzeba mieć ogromne, bo ulica moja jest w dzielnicy ludzi ciężko pracujących i biednych, bo praca nie zawsze wystarcza na utrzymanie rodziny i wielu gęb do wyżywienia. Ciężka praca i trudne warunki życia, a i częste zaglądanie do karczmy po alkohol powodują, że Polacy długo nie żyją, stąd wiele młodych wdów z dziećmi, a i śmiertelność wśród niech jest wysoka. Teraz ja pełnię rolę „głowy rodziny" zupełnie obcych mi osób, bo wdowa, chociaż ze Śląska to nie ma tutaj krewnych tylko w Teksasie, a tam jechać do nich nie ma za co. Jak to wszystko się zakończy Pan Bóg raczy wiedzieć. Ona chce łóżko dla siebie i kawałek podłogi dla dzieci ode mnie wynająć, aby jak najwięcej zaoszczędzić i wyjechać, ale gdzie pojedzie z tego Chicago, ani pisać ani czytać nie potrafi. Wszędzie gdzie będzie, jeśli znajdzie, jaką pracę to zarobi niewiele jedynie do czyszczenia i sprzątania się nadaje, ale to robią wszyscy i o robotę będzie trudno. W starym kraju pracowała na roli to i jest silną kobietą, może jej mięśnie wytrzymają ten nadludzi wysiłek, jeśli jaką pracę znajdzie.

Wracając do mnie w takich warunkach nawet nie wiem jakbym chciał, do pracy twórczej nie byłbym w stanie wrócić. O żadnym pisaniu utworów być mowy nie może, ale najstarszego syna wdowy czytać i pisać uczyć mogę, jeśli nie jestem zbyt zmęczony, a on rozbawiony swoim rodzeństwem.

Żyjąc takim amerykańskim życiem o Paryżu i Francji już prawie zapomniałem, jedynie mocnej Polska weszła we mnie poprzez chicagowskich rodaków. Czasy głodu i postu dla mnie osobiście wymuszonego przez sytuację przeszły, ale nie dla rodaków tej różnorodnej masy ludzkiej, której rząd amerykański w żaden sposób nie pomaga. Nawet spotkałem weteranów, byłych powstańców z listopada 1831 roku, co to po jego upadku na siłę z Galicji zostali do Ameryki wywiezieni. Jestem tu w społeczeństwie zupełnie mi nieznanym i wszech miar innym, ale mogę żyć z pracy fizycznej moich rąk. Żadnych nowych wierszy nie napisałem, i coraz mniej mam czasu na pisanie i rozmyślania. Do mojej powiernicy serca tej jedynej przyjaciółce, która nigdy o mnie nie zapomniała Marii Trębickiej też nie piszę, chociaż tak chętnie jeszcze z Nowego Jorku pisałem i nowe utwory posyłałem. Pisanie, twórcze myślenie odeszło wraz z wyczerpującą pracą, taka jest cena chleba, taka jest cena strawy w Ameryce. Wcześniej jeszcze z Nowego Jorku do Pana pisałem prośbę o pomoc finansową na bilet powrotny, aby Pan raczył w moim imieniu zwrócić się do hr. Ksawerego Branickiego, czy hr. Rogera Raczyńskiego, bo chciałem z Ameryki do Polski albo

Turcji się wydostać. Zapadło jednak w tej sprawie głuche milczenie, a i moje plany się zmieniły, jestem w Chicago i stąd nie zamierzam się ruszać, póki co. Brakuje mi Europy i jej kultury, muzeów i galerii, ale też rozumiem Pana i jego niechęci do pisania wierszy i tak nieopatrznie wspomnianej przeze mnie propozycji napisania poematu *Pani Zosia*, który byłbym nijako kontynuacją *Pana Tadeusza* na amerykańskiej ziemi. Wiem pomysł szalony, ale, ale czyż mnie w Paryżu Polacy nie nazywali „starym dziwakiem?”

I aby skończyć z tym „dziwakiem”, napiszę szczerze, że żadnych książek z Nowego Jorku ze sobą do Chicago nie zabrałem, ani takiej, co bym chętnie teraz czytał, ani takiej, co by mi była potrzebna. Jedynie starą wysłużoną Biblię z sobą wziąłem, którą jeszcze w Polsce matka mi podarowała. Ta myśl, aby nic poza Pismem Świętym nie zabierać i nie dźwigać i nie płacić za bagaże narastała we mnie powoli, bez pośpiechu zgodziłem się na wędrowca, którego jedynym dziennikiem pokładowym jest Słowo Boże. Nie czas na Muzy, gdy głód kiszki ściska, a na grzbiet nie ma, co założyć. Biblia to taka książką, którą można na chwilę odłożyć, gdy człowiekowi powieka się zamyka, albo, gdy na stole talerz gorącej zupy postawią. I gdy się ją zje i zanim rybę przyniosą znowu można ze dwie strony przeczytać, podnieść wzrok by po twarzach w jadalni na zebranych popatrzeć, zastanowić się, pomyśleć pomiędzy łykami wina. Pan Bóg za takie czytanie się nie obrazi, a i czas dany mam od Niego

mile przeminie. Piszę Ci o Tym Panie, bo takiego Norwida nikt we Paryżu nie znał. Karmiony naszą historią i tragedią narodową, naszymi narodowymi wadami i gadulstwem, postanowiłem tutaj z dala od paryskich kłótni spraw narodowych złamać pióro i odpocząć. Gdy tęsknota za tym, co zostało na drugim brzegu Atlantyku powróci, i po raz kolejny poczuję chęci i nabiorę sił, gdy Pan Bóg pozwoli to do Europy wrócę. Pamiętaj drogi poeto o zdrowiu i modlitwie, którą ja każdy dzień rozpoczynam i kończę, i jeśli ktoś z naszych znajomych się Ciebie zapyta, czym na oceanie zatonął, powiedz mu, że tak, że zatonąłem w preriach amerykańskich nad jeziorem Michigan.

Cyprian Norwid

*



Fot. Pixabay

A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

Mój drogi Norwidzie!

Nie odpowiedziałem natychmiast na list Twój, bo skoro jesteś w Ameryce, a tam są wszyscy na „ty”, które brata każdego z każdym, więc piszę do Ciebie bezpośrednio. Mnie też ten amerykański sposób życia się podoba, chociaż czasem denerwujące jest te „you”. Obecnie zajęty jestem ponad ludzkie siły, jak za pewnie wiesz, wojna na Krymie się już na dobre rozpoczęła. Nadszedł czas, aby urzeczywistniać marzenia nie tylko polskich emigrantów o wojnie powszechnej w Europie.

Czas pomyśleć o wznowieniu pisma *Tribune des Peuples*. Wojna na Krymie może być tym na co czekały wszystkie narody europejskie walczące z monarchiami i despotyzmem.

Ty sobie w Ameryce żyjesz, a my tutaj w Paryżu mamy nadzieję, że na tym konflikcie nasza ojczyzna może skorzystać i aby nie siedzieć z założonymi rękami chcę jak najwięcej narodowej sprawie się przysłużyć. Orient zawsze mnie interesował i teraz nadarzyła się ku temu nie lada okazja. Planuje wyjazd do Stambułu, aby być bliżej teatru tej wojny. Rozmawiam z Francuzami, aby ze swoim sekretarzem tam się udać, chcę za wszelką cenę Francuzów naszą sprawą zainteresować, a i finanse też mi idzie, bo jak wiesz, bez ekonomii nic nie będzie.

Wracając do Twojego listu, po raz wtóry Ci piszę, że nie wiem, co mam Ci odpowiedzieć i co mam Ci odpisać. Opisywane przez Ciebie dole Polaków wielki smutek we mnie budzą, chociaż wiem, że za szczęściem i lepszym życiem ocean przepłynęli. Tę niedolę powiększa odległość przez ogrom wody, bo jak wiesz w Europie nasi uciekinierzy też łatwego życia nie mają. W słowach o emigrantach jak i w Twojej poezji nie widzę światła, i to mnie martwi. Popadłeś w depresję sam sobie blokadę pisarską na ręce założyłeś. Nie czytasz książek, bo ich nie masz, jedynie modlitewnik, nie piszesz wierszy, ani poematów nie układasz, nie rysujesz ani nie rozmyślasz, ale jednak żyjesz, widać, że wola taka jest Pańska, aby żyć życiem doczesnym wprzódy duchowo-

artystyczne pogrzebawszy. Nie wiem, co lepszym by było zginąć od fal oceanu niż umierać na prerii chicagowskiej? Sam sobie musisz na to odpowiedzieć. Jak wiesz wszystko jest w rękach Pana Boga, a życie nas, co chwila niedostatkiem i niewygodą doświadcza.

Dziękuję za zaszczyt, jakim mnie obdarzyłeś kładąc pod moje pióro dzieje polskiej kobiety i za razem Polaków w Ameryce, za które to nienapisane dzieło na moim czole obiecujesz mi nieśmiertelność nakreślić. Ale nie tędy moja droga nie piórem, ale działaniem na rzecz naszej ojczyzny widzę swoje przeznaczenie. Czasy wielkiego czytania i pisania dla mnie dawno już minęły, to, co kiedyś tak mnie uszczęśliwiało, co tak kochałem zastąpiłem inną miłością.

Rozpocząłem ten list od wojny Krymskiej i na niej zakończę, być może Pan Bóg pozwoli, (chociaż nie chcę Go do tego mieszać), że mocarstwa zaborcze Prusy, Austria i Rosja, co przekształciły Polskę w posiadłość kolonialną, a naród nasz pod buta wzięły na tej wojnie stracą więcej niż im się wydaje. Anglia i Francja zdaje się są po naszej stronie i doskonale rozumieją poczynania zaborców, ich skoordynowane wysiłki, aby stłumić wszelkie przejawy autonomii politycznej dla swoich polskich poddanych. Zaborcy nie pozwalają nam się rozwijać, gdy cały świat Zachodu postępem dotknięty, nas w ciemnocie trzymają. Teraz nadszedł czas, aby nasi chłopi własną ziemię we własnej ojczyźnie

uprawiali, aby nikt głodny za chlebem nie musiał emigrować. Szczęście jest tylko w ojczyźnie, to moja myśl teraz główna, dlatego na Wschód się wybieram, gdzie powiew wiatru wolności każe Polakom głowę do góry podnieść.

Łącze wyrazy uprzejmej pamięci.

Paryż 1854

Adam Mickiewicz

*

Część 1:

> Romantycznych poetów listy – hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 1.

*

Adam Lizakowski – poeta, tłumacz, fotograf. Urodził się w rodzinie żołnierza, który przeszedł cały szlak bojowy spod Lenino do Berlina. Odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti Militari, który po zakończeniu II wojny światowej osiadł w

Górach Sowich we wsi Glinno położonej w województwie dolnośląskim w powiecie wałbrzyskim w gminie Walim. Jego ojciec Edward miał 10 hektarowe gospodarstwo rolne po Niemcach, którzy pomagali mu, zanim zostali wysiedleni. Adam Lizakowski debiutował w roku 1980 w ogólnopolskim *Tygodniku Kulturalnym*, dzięki poecie Tadeuszowi Nowakowi, który w swoich utworach opisywał wieś i poruszał tematykę chłopską. Od 1981 roku przebywał poza granicami kraju. Studiował na Columbia College Chicago (BA) i Uniwersytecie Northwestern w Chicago (MA). Tłumacz poezji amerykańskiej, m.in. Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Carla Sandburga, Roberta Pińskiego i Boba Dylana. Także z angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse oraz wiele wierszy perskiego poety z XII w. Rumiego. Związany z poetyckim ruchem w San Francisco i Chicago. Był wydawcą kwartalnika *Dwa Końce Języka* w Chicago oraz redaktorem naczelnym miesięcznika *Razem* wydawanego w San Francisco. Przez wiele lat publikował wiersze w paryskiej *Kulturze*. W 2016 roku powrócił do Polski. Jest autorem ponad tuzina książek m.in. „Pieszyckie Łąki”, „Złodzieje czereśni”, „Jak zdobyto Dziki Zachód” czy „Pieszycka księga umarłych” wydana w 2022 roku przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa.

*

Zobacz też:

> Walt Whitman. Pozdrawiam Świat – Salut Au Monde!

> Poemat „Salut Au Monde!” Walta Whitmana

> List Do Generała Suttera

Romantycznych

poetów listy – hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 1.



Fot. Pixabay

Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.

*

Adam Lizakowski *(Chicago/Pieszyce)*

Będąc w Chicago przez prawie 30 lat, natrafiłem na listy poetów romantycznych w jednym z domów starych emigrantów, sprzątając ich strychy i garaże. Cztery listy były w jednej kopercie z dużym kolorowym znaczkiem odręcznie zaadresowanej i nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie nazwisko Cyprian Norwid, napisane ładnym okrągłym pismem. Koperta ta włożona była do pudełka po butach firmy

obuwniczej *Florsheim Shoe Company* z datą 1905 rok i ceną pięciu dolarów przyklejają na boku. Były jeszcze i inne listy w tym pudełku z różnych lat z ładnymi znaczkami z Europy jeszcze sprzed I i II wojny światowej. Zapytałem właściciela domu czy mogę je wyrzucić na śmietnik, odpowiedział, że tak, ale muszę je włożyć do worka z papierami. Jakiś diabeł uczciwości mnie podkusił i zapytałem się go czy nie szkoda mu znaczków, tak kolorowych i odpowiedział, że szkoda i wtedy się połapałem, że okropny ze mnie frajer, bo o ładnych znaczkach niepotrzebnie wspomniałem. On, gdy o tych znaczkach nagle dla niego wartościowych usłyszał, kazał sobie zapłacić całą moją dniówkę pracy u niego, na co nie mogłem sobie pozwolić. Ale będąc w dobrym nastroju uprosiłem go, aby mi te cztery listy pozwolił przepisać, co zrobiłem i teraz do wiadomości publicznej podaję. Właściciele domu i tych listów już do trzech pokoleń nie mówią po polsku, a na moje pytanie skąd się u nich wzięły, odpowiedzieli, że pradziadowie wynajmowali mieszkania rodakom i być może ten Norwid u jego prapradziadów mieszkał, i wracając do Europy, aby mu ciężko nie było, wiele swoich szpargałów pozostawił. Jedynie z workiem przepasanym sznurkiem wzdłuż ciała z domu do Union Station poszedł na pociąg do Nowego Jorku. Nie on jeden zresztą, bo wszyscy tak robili, co szczęścia gdzie indziej szukali.

*

C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza w Paryżu

Szanowny i Wielmożny Panie –

Długo mógłbym pisać o osobistych mych cierpieniach, które były powodem, iż po czternastu miesiącach w Nowym Jorku najpierw dyliżansem, a później koleją żelazną poprzez Filadelfię, Baltimore i Buffalo po tygodniu podróży do Chicago dojechałem. Drogę miałem wygodniejszą, bo po ziemi pod stopami, niż statkiem po oceanu głębinach do Ameryki, gdzie w strachu i o głodzie, Najwyższego o życie prosiłem. Moje modlitwy o lepsze jutro zostały wysłuchane, chociaż to nie Wschód Ameryki, ale jej Środkowy Zachód do mnie się szczęściem uśmiechnął. Nie chciałem niewolnikiem pracy artystycznej w Nowym Jorku zostać, chociaż nigdzie na świecie tak dobrze za bycie artystą nie płacą, jak w Ameryce. Płacą, ale i artysty wolność chcą kupić, albo ograniczyć. Po zakończeniu pracy dla redakcji *Almanachu Ekspozycji Uniwersalnej* po raz kolejny w długach po kolana ugrzęzłem, choć pracy miałem aż po same łokcie, ale mi nie płacili jak obiecali, oszukiwali, to miałem wyrzuty sumienia, że za nic się sprzedaję. Aż tu pewnego dnia spotkałem pewną grupę rodaków spod Rzeszowa, co to za chlebem na Zachód jechali i z nimi się zabrałem przymuszonym głodem i chorobami, że gorzej być nie może, tylko będzie lepiej a w Panu nadzieję pokładałem. Wielu naszych rodaków tak robiło, co to ze statków z Europy

zeszli i do Chicago się kierowało. Nie umiem powiedzieć jak wiele nerwów i zdrowia decyzja ta mię kosztowała, ale się nad wszech miar opłaciło.

W Chicago mogę powiedzieć praca leżała na ulicy, bo ledwie żem z pociągu wysiadł, Żyd z długą brodą wpół zgięty do pracy w rzeźni zapraszał, podawał adres i na wstępne rozmowy kierował. Poszedłem i ja z moimi podróżnymi pełen obaw i pracę dostaliśmy od zaraz, tak, że po kilku tygodniach ponad moje siły ze wszelkich artystycznych zapędów się wyleczyłem, te moje biedne modlitwy o lepsze jutro zbliżyły mnie do pracy ludzi. Stać mnie na wiele, w małym domku z ogródkiem przy ulicy Milwaukee mieszkam. Mam swój pokój i własne łóżko, a to już nie małe osiągniecie, bo są tutaj i tacy, co tylko na podłodze śpią, albo na dwa krzesła tylko ich stać i na nich nocują w przedpokojach. Są też tacy, co i na pokój byłoby stać, ale oszczędzają dolary i do rodziny w kraju wysyłają, sami sobie od ust odejmując. Wyzdrowiałem z wszelkich chorób i słabości i sam sobie usługuje, myję podłogę w mym pokoju i posadzkę w domu, chodzę boso dla prostoty i aby tych biednych, z którymi mieszkam uszanować.

Na mieście w polskich karczmach obiaduję, jedzenie nie drogie proste, baby zwykłe je gotują, co to i chłopa i dzieci na wsiach polskich karmiły dobrze, aby siły w polu miały. Kuchnia chłopska na krupach i pierogach oparta, lepsza od francuskiej,

bo Amerykanie na jedzeniu ani krzty się nie znają. A i wygodnie mi tak, gdy po dziesięciu godzinach z pracy do siebie wracam. Teraz w sobotę też w karczmie jestem, zaszedłem z karteczkami papieru, aby napisać tych kilkanaście zdań i drugi raz nie wychodzić z listem do pudełka pocztowego. A w karczmie i chleb dobry, i zupa na krupach ze śmietaną wyśmienita, i jeszcze świece mają na każdym stole, co na moich kupnie mogę zaoszczędzić. Nikt mnie tutaj nie zna, i nikt nic nie wie, cokolwiek bym ludziom nie powiedział i tak by mi uwierzyli, chociaż krzywym okiem na mnie patrzą, bo umiem czytać i pisać. Strój też mam inny niż polscy chłopi, bo zachodnio europejski surdut, a chłopi nasi do swych kapot mocno przywiązani i podejrzliwi, taka ich natura nieufna, nie chcą ze mną się bratać, bo mówią jak czytać i pisać umiesz, toś niebezpieczny. Aby ich jeszcze bardziej wrogo do siebie nie nastawiać, nawet nie wspominałem com malował, a com pisał, a com rzeźbił, nikt tutaj na takie sprawy czasu nie ma. Zegarek srebrny kieszonkowy szpindlak też schowałem, bo w oczy ich kuł, gdy czas sprawdzałem. Ludzie praktyczni, kiedy chcą modlitwy, to naznaczają czas i dzień, w którym sami się modlą, i ściśle tego przestrzegają.

Co do mojego amerykańskiego życia, to jak wyżej pisałem całkiem ono się zmieniło, i europejskie wyparło, o sztukach pięknych zapomniałem, czasu na to nie ma, arystokracji nie ma wokół, i wszyscy wszystkim równi, a ludzie tylko pracą i

modlitwą żyją. Obecnie Chicago z rzeźni słynie w całej Ameryce, drogami żelaznymi przywożą krowy z najdalszych prerii. Jestem wśród rodaków tłumaczem, bo po niemiecku dobrze mówię, nieopatrznie się wygadałem, gdy o ostrzeniu noży sprawy się miały. A ostry nóż i siekierą to podstawa pracy w rzeźni, to jak farby i płótno dla malarza. Pół Europy tej Wschodniej to rzeźnicy tutaj, i wszyscy wschodnio Europejczycy po polsku mówią, bo bez mowy polskiej, dla nikogo tutaj nie ma pracy, nawet dla Czechów czy Serbów, chyba, że to Niemiec, bo tylko Niemcy są tutaj ponad wszystkimi i tylko oni są majstrami. Tak się ułożyło, że żaden Słowianin nie może zostać przełożonym Niemca, choćby nie wiem jak dobrze by pracował. Ale nic to, ja sobie Amerykę pracowitą chwalę i Chicago też, bo piękno na to jest, by zachwycało, – praca, by się przez nią zmartwychwstało. *(C.K. Norwid, „Promethidion", przyp. red).*

Drogi Panie Adamie, jeśli mogę tak do Pan się zwrócić, zapraszam do Ameryki, czas na to, aby opisać ją, a w niej i rodaków naszych, przede wszystkim kobietę, jakim poematem ojczystym. Tom drugi *Pana Tadeusza,* czas napisać, w którym główną osobą była by kobieta z Chicago. Zosia w kuchni pracująca, albo gdzie u jakiś bogatych Amerykanów na sprzątaniu, pilnowaniu dzieci i prowadzeniu domu. W moich oczach kobieta w Ameryce nabrała innego znaczenia niż w Europie, teraz wszystkie kobiety serdecznie kocham, w każdej widzę piękno i te wewnętrzne i te zewnętrzne. Czy to oprawę

oka i tok spojrzenia — czy to ramię, czy szyi obrót, czy głos, czy udatność ruchu, czy serca powab, czy łzę, czy arabską linię łęku stopy — czy włosów jedwab… — W każdej takiej kocham się bardzo serdecznie, bez względu, azali jest matką, żoną, wdową, siostrą, imperatorową, wiejską dziewczyną, księżną rzymską, hrabiną austriacko-polską etc. Od wydania *Pana Tadeusza* dwadzieścia lat mija, nowe pokolenie się urodziło, poemat o Polsce w Ameryce *Pani Zosia* czeka na swojego mistrza, co by Pańskim talentem go napisał. Czas kobietę przedstawić ciężko pracującą na kawałek chleba u boku mężczyzny w Chicago, w Ameryce wielkiej i dającej naszym rodakom zarobić na chleb. Matka, żona, chrześcijanka, to, co w ojczyźnie najwyżej cenione, tutaj ma dwukrotną wartość. Niech w litewskich kniejach pozostaną tamtejsi szlachcice z XVIII wieku, awanturnicy, safanduły, facecjoniści, czy gawędziarze. Czas iść z duchem czasu XIX wieku. Zaokrętuj się Pan jak najszybciej do nas przybywaj, pokój mam obszerny dwa łoża w nim staną, zapraszam do siebie, Ameryka widziana oczami Polaka na swój poemat czeka.

Chicago, jesień 1853 rok.



Fot. Pixabay

*

A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

Szanowny i Wielmożny Panie!

Tego po Panu bym się nigdy nie spodziewał, że tak łatwo i szybko znalazł Pan w Chicago swoje miejsce na ziemi i pracę, której tak bardzo brakowało Panu w Europie. Nie będzie Pan jak Cygan szukający swojego miejsca, ale jak Żyd co znalazł swoją ziemię obiecaną i pracę po latach wędrówki. Co to za praca, Bóg raczy wiedzieć i niech on ma Pana w opiece. Emigracja polska to wioska za wioską chłopi skuszeni marzeniami o własnej ziemi i dolarach. Jak się Pan wśród nich odnalazł nie mam pojęcia, ale

Pana podziwiam, tak samo jak ich, bo ani oni, ani Pan nigdy nie pracowaliście pod dachem w fabryce, ani żadnej innej takiej instytucji, gdzie człowiek stoi obok człowieka i pracuje. Jak oni tam się czują, nie potrafię sobie wyobrazić, jak oni pracując całe życie w polu odnaleźli się w fabrykach i domach murowanych za tym oceanem, jeden Bóg raczy wiedzieć. Oni przybyli bez grosza, może, jeśli Bóg pozwolił z kilkoma dolarami w kieszeni bez zawodu, bez języka, bez umiejętności czytania i pisania. Ta droga w nieznane – pokładam w Bogu nadzieję, – że nie będzie ich drogą krzyżową. Pan dla mnie jest pierwszym polskim szlachcicem, który pracuje w Chicago i to w rzeźni. W Ameryce, brata się z polskim ludem. Dla mnie jest Pan pierwszym polskim socjalistą, Polakiem, w którym uczucie socjalne stało się namiętnością, czynem i rzeczywistością, a wybuchnie ono w duszy ludzi prawdziwie religijnych i patriotycznych, takich właśnie jak Pan. Uczucia religijne i patriotyczne są podstawą socjalizmu. Co z tym uczuciem Pan zrobi nie wiem, ale żałuję mocno, że nie napisał Pan do mnie, gdy jeszcze był w Nowym Jorku, w którym to mam sporo przyjaciół amerykańskich. Gdy pisał Pan do mnie jesienią tego roku właśnie mijały dwa lata jak umarł mój wielki przyjaciel James Fenimore Cooper, autor za pewnie i Panu znanej powieści pod tytułem *Ostatni Mohikanin,* ulubiona lektura europejskich chłopców, a także i polskich, bo jest w języku polskim wydana. Pana Coopera wiele lat temu w 1830 roku poznałem w Rzymie i odnalazłem w nim bratnią duszę. To on w następnym roku 1831 w Paryżu, Komitet Amerykańsko-

Polski zorganizował śląc wielką pomoc dla powstania listopadowego. Nie muszę Panu pisać, jakim wielkim przyjacielem był on Polaków, zjednał na członków Komitetu przeszło stu wybitnych Amerykanów, przebywających wówczas we Francji, ułożył płomienną odezwę do narodu amerykańskiego, wykazując, że pomoc Polsce jest jego obowiązkiem i że prawa Polski są bezsprzeczne. Jego córka Zuzanna jest ze mną w stałym kontakcie, ale na Wschodzie Ameryki mieszka.

Wracając do Pana wiem, jak Pan bardzo ceni sobie sztukę europejska, jak bardzo cenił sobie salony francuskie i polskie w Paryżu, a tu teraz takie wiadomości mi piszesz. Pan należący do najwybitniejszych polskich artystów we Francji. Pan malarz i rzeźbiarz, poeta i myśliciel bardzo cenne swoje talenty rozmienia na drobne i przodownikiem pracy, tłumaczem rodaków w rzeźni niemieckiej zostaje. Trudno jest mi w to uwierzyć jeszcze o tych Pańskich zmianach życiowych do naszych znajomych i przyjaciół nie pisałem, nie chciałem żadnej sensacji robić wśród poetów Lenartowicza, Krasickiego, czy innych. Czekam na Pański następny list nie bardzo wierząc w to, co było napisane w pierwszym, bo jak zgaduję pisał Pan go pod wpływem emocji, albo i jeszcze innych okoliczności. Jestem przekonany, że w następnym liście wszystkiemu Pan zaprzeczy i napisze tym razem w innym tonie, że zamierza wystawić swoje świeżo wykonane prace artystyczne, bardzo wysoko cienione przez miejscowych znawców w jakimś zacnym miejscu w Chicago i tym

samym przyczyni się do powstania nowej sztuki amerykańskiej, renesansu Ameryki. Nie uwierzę, że emigracja chłopska sprowadziła Pana do jednowymiarowego poziomu wszystkich emigrantów, którzy swoją obecność w Ameryce tylko ciężką fizyczną pracą zaznaczają.

Jeśli wiąże Pan swoje życie i służbę dla rodaków w rzeźni, nie wiem, co miałbym Panu powiedzieć, co miałbym napisać. Wspomnę na nasze długie rozmowy o literaturze i filozofii, pozwoliły mi one przekonać się, że rozmawiam z człowiekiem równym europejskiej cywilizacji, umiejącym osądzić rzeczywistość życia codziennego z najbardziej wyszukaną poezją francuską czy niemiecką. I teraz ten list o tym, jakiego dokonał Pan sądu o swoim życiu na uboczu spraw wielkich, życia wydającego się spokojnego i cichego na ziemi Waszyngtona, ale wiem, że to złudzenie i to też Pan wie. Widzę w Pańskich słowach wiele nieszczęść, przez jakie przeszedł Pan w Europie i ta chęć do pisania o prawdzie i pięknie, bo tylko prawda może być piękna, bo tylko piękno może być dobrem. Że zrozumiał Pan, że te francuskie i paryskie ozdóbki, kwiatki w kryształy wstawione na stołach z marmurowymi blatami są niczym, jeśli w nim głębszej myśli nie ma. Te błyskotki świecące jak robaczki w maju, gdy nadejdzie ich czas gasną i nawet wspomnienie o nich nie trwa dłużej niż chwila.

Jak mawiają Amerykanie; *and now last but no least,* chciałbym

wrócić do Pańskiej propozycji napisania dalszej części *Pana Tadeusza* o kobietach w Chicago, albo w Ameryce pod tytułem *Pani Zosia*, i tu po raz kolejny Pan mnie zaskoczył. Pomysł wydaje mi się arcyciekawy i przedni, ale ja jak Pan wspomnieć raczył, od wielu lat poezji nie pisałem i pisać już nie chcę. Przecenia mię Pan, to, co zrobiłem będąc młodym, zrobić w mym teraz wieku nie jestem w stanie. Tak samo jak do Ameryki nie zamierzam się wybierać, bo tu w Europie jest Polska i jej będę służył z całych mych sił dopóki mi ich starczy. Tutaj jest ma ojczyzna i rodzina, dzieci me i moje sprawy do załatwienia. Poza tym nie zamierzam w Chicago w rzeźni pracować i po dziesięciu godzinach pracy ponad ludzkie siły w nocy świece palić i poemat pisać, bo jak sam Pan wiesz, nikt tam złamanego grosza na poezję nie wyda, a polskiej arystokracji się tam nie znajdzie. Nie skarżę się na rodaków w Ameryce, co to za chlebem do niej popłynęli, a nie po poezję, i tutaj w Europie też za chlebem jesteśmy, ale do pisania wierszy w Chicago o polskich kobietach żadna siła mnie nie zmusi. Projekt Pański o Zosi uśmiech na mej twarzy wywołuje i nie mogę powstrzymać się od śmiechu, proszę wybaczyć mój styl i swawolność, ale znam powagę, piszemy o rzeczach ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta (czy jak u was mówią dla fornala) nawet. Pan myślisz, że moje śliczne pisanie będzie się rymowało i z myślenia zwalniało, a także z estetycznych i etycznych doznań. Dlatego się uśmiecham na Pańską propozycję, bo uważa Pan, że poemat *Pani*

Zosia szybko trafi pod strzechy, ale ich w Ameryce w dużym urbanistycznym mieście już niewiele a Polska daleko. Prawda jest taka, że moje pióro, czym innym teraz jest zajęte, moje serce i głowa gdzie indziej, poza tym każdy, kto chce pisać musi czytać, mówić i rozmyślać o tym, co chce napisać. Ameryka jest daleko, tylko od strony pieniądza podziwiana, jak żyją w niej Polacy być może za sto lat po nas ktoś o nich napisze, ale czy w Polsce będą chcieć o tym czytać tego nie wiem. Trzeba nam wielkiego zapasu cierpliwości. Dziękuję za pamięć. W domu u mnie wszyscy zdrowi, bądź zdrów też. Za chwilę kończy się ten rok 1853, niech dobry Pan Bóg sprawi, aby nowy był jeszcze lepszy. Życzę wiele szczęścia i łask Bożych.

Z poważeniem.

Adam Mickiewicz

*

Część 2:

> Romantycznych poetów listy – hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 2.

*

Zobacz też:

> Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

> Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

> Adam Lizakowski – sześć wierszy o Chicago

Korespondencja z Janem Bielatowiczem (1913-1965).



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wcześnie zmarły Jan Bielatowicz, krytyk, pisarz i redaktor, był barwną postacią w Londynie, gdzie go poznałem. Terminowałem w jego miesięczniku „Życie” i pamiętam jeszcze pochwały moich filologicznych artykułów, które spotkały się z jego szczodrą aprobatą.

Bielatowicza spotkałem w Londynie po przyjeździe ze studiów w Irlandii. Mogło to być już w 1950 roku. Być może przedstawil mnie jemu Wojciech Gniatczyński, mój kolega z irlandzkich studiów, który znalazł zatrudnienie w katolickim ośrodku wydawniczym „Veritas”. W owym czasie zacząłem pisać wiersze i prace filologiczne próbując drukować je w prasie emigracyjnej. Przypominam sobie moją znaczniejszą rozprawkę o niemieckich tłumaczeniach *Pana Tadeusza,* którą Bielatowicz przyjął do miesięcznika „Życie” i bardzo chwalił.

Był jednym z nielicznych krytyków literackich na emigracji. Nie brakowało mu odwagi.i nie wstydził się bronić polskiej tradycji i ostrzegać przed odszczepieństwem. Wołał o miłość do ojczyzny i języka w patetycznych słowach:

> A więc panowie akademicy: macie rację, że was nie bawi polska kultura, skoro w duszach waszych zagościła już na

> dobre kultura inna. Tylko, że to nie usprawiedliwia obojętności dla kultury macierzyńskiej. Bo tylko ludzie bez ambicji lub bez sumienia mogą się wyrzec swej matki. Strzeżcie się więc, abyście nie zgubili polskich serc. Bo z tej straty – nie wytłumaczycie się ani swoim ani obcym. Nie wytłumaczycie się żadnym językiem świata ani ludziom ani Bogu.

W jednym z numerów „Życia Akademickiego” formułowal swoje sensowne postulaty pod adresem wychodźstwa:

> Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymywać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć.Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi.

W 1954 roku Bielatowicz pojawił się na moim ślubie w Londynie, gdzie na przyjęciu poweselnym wygłosił dowcipne przemówienie podkreślając bratanie się kresów, Polesia i Śląska w osobach protagonistów ceremonii.

Z racji drukowania w piśmie Bielatowicza utrzymywałem z nim luźną korespondencję, w której z czasem zaczęły się pojawiać

echa jego reakcji na ataki ze strony młodych wydających pisma „Życie Akademickie”, a później „Merkuriusza” i „Kontynenty”, z którymi byłem związany.

Już w liście z 30.12.1958 roku skarżył się:

> Że moje sądy nie podobają się merkuriuszowej młodzieży literackiej, wiem już nie od dziś. Są wśród niej tacy, którym ułatwiałem pierwsze kroki literackie w druku, a którzy potem wymyślali mi niegrzecznymi epitetami. Inny poeta, gdym do jego utworów dorobił przecinki, nawymyślał mi od złodziei, jeszcze inny dawal mi pouczenia, kogo należy uważać za emigracyjnego poetę.
>
> Po pożegnalnym numerze starego „Merkuriusza” nie ma złośliwości, do której by wychowana na wzorach zachodnich w duchu demokracji, młodzież nie była zdolna. W przedwojennej Polsce istniały pisma, które się utrzymywały z paszkwilanctwa. Redaktor odpowiedzialny posiedział trochę, ale sadła zalał za skórę komu chciał. Na emigracji zadanie jest łatwiejsze, ponieważ obelg nikt nie piętnuje.

Z nieco większą nadzieją w ‘Notatkach’ „Życia” pisał:

> Wystrzelono już w emigracyjną próżnię kosmiczną nową rakietę pod nazwą „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Bardzo sympatyczne jest to, że w pierwszym numerze nowego „Merkuriusza” zespół odwołał, późno, ale szczerze, znaczną część połajanek z ostatniego numeru „Merkuriusza”. Miło przeczytać kulturalne i rozsądne uwagi na ten temat Wojciecha Gniatczyńskiego i Bogdana Czaykowskiego. Poza tym życzymy powodzenia na nowej drodze życia. I koniecznie porządnego korektora. Brak korektora nie przyniesie szkody chyba tylko nowoczesnej poezji.

Nieco poźniej w dyskusji w „Kontynentach” komentował w liście:

> Zabawna jest ta wasza dyskusja, z której wynika, że jeśli się czegoś nie czytuje, to znaczy że to „coś” jest złe, czyli argument z ignorancji. Tak przynajmniej, raczej cynicznie, wypowiedziała się opozycja przeciw „Wiadomościom”. Nie czytamy, bo są złe. Bardzo czarujące. Ostatecznie, oprócz Mieroszewskiego, Gombrowicza i Milosza, ci sami autorzy obsługują „Wiadomości”, co „Kulturę”. Stąd by wynikało, że nawet geniusz potrafi zmienić się w grafomana zależnie od tła. Coś jak kameleon. A już najbardziej kapitalnie brzmią sądy o wszystkich autorach spoza grupy „Kontynentów” jako o urodzonych grafomanach. Czerniawski czyta cudze wiersze

> tylko po to, aby stwierdzić genialność własnych.

Zaprosiłem Bielatowicza do zabrania głosu w kwestii literatury na emigracji po artykule Danilewiczowej. Odpowiedział:

> Nie chciałbym jednek zabierać głosu w sprawie rzeczy Pani Marii, bo niezależnie od jej metody krytycznej (cenzurki) i samej oceny wartości poszczególnych pisarzy emigracyjnych (z jej ujęcia wynika, że wszystko, co dotąd na emigracj napisano to mała kropelka wody wobec gigantycznych walorów poezji grupy „Kontynentów") musiałbym chyba napisać drugi takich samych rozmiarow raport ze sprostowaniami ogromnej ilości błędów, omyłek, przeinaczeń, opuszczeń itp. Pani dr pisala ten referat, jak sądzę, na kolanie i upstrzyła go setką błędów rzeczowych, o których pewne (np. że Czuchnowski 'objawił się jako poeta dopiero w 2 Korpusie) trącą skandalem zważywszy, że pochodzą spod pióra poważnej pisarki. Nie mam osobistych porachunków z Autorką, bo aż nadto pochlebnie mnie w swej pracy powitała, ale tak naprawdę nie można. To oczywiście, tylko dla Pańskiej prywatnej wiadomości, bo nie chciałbym szanownej Autorki urażać.
>
> Muszę powiedzieć, że bardzo mi sie podoba Sito w swojej roli w Kraju i niesłusznie „Kontynenty" go zaatakowały. On

> jednak wyciągnął praktyczne konsekwencje ze swej antyemigracyjnej postawy, zupełnie inaczej niż np. Taborski.

Obiecany artykuł napotkał jednak na przeszkody.

> Co się tyczy mojego artykułu, o czym mi Pan przypomina, musiałem zmienić zdanie. List, jaki PP Czaykowski i Sulik, redaktorzy „Kontynentów" napisali do „Dziennika" po mojej recenzji z ich książki, utwierdził mnie w przekonaniu, że nie będzie między nami nie tylko porozumienia, ale nawet trudno znaleźć jakąś wspólną kulturalną bazę. Coraz więcej mnie dziwi fakt, że tak szumnie sławiony wpływ obyczajów anglosaskich na młode pokolenie, zamiast nauczyć go manier publicystycznych, obraca się w umysłach i temperamentach tego pokolenia w niwecz. Styl dyskusj redaktorów „Kontynentów" (myślę o wyżej wspomnianych) przypomina obyczaje panujące w Mongolii Zewnętrznej. Nie umiałbym w takim gronie powiedzieć ani słowa. Jeśli ci panowie chcą mieć za wszelką cenę rację, niechże ją sobie mają dla siebie.

W kolejnym liście z 1962 roku Bielatowicz donosił:

> Artykułu, o którym kiedyś mówiliśmy, nie napiszę, bo mam

> już wypełniony kalendarzyk zajęć aż do czerwca b.r. Ale bardzo chętnie wezmę udział w wieczorze na temat – Czy pogrzebać „Kontynenty”? Prosiłbym jednak o prawo do gadania przez jakies 25 minut, bo chciałbym wygarnąć wszystko i od serca, nie tyle na osobiste tematy, jak to bywało w zwyczaju Kontynentalistów, lecz na tematy ideowo-pokoleniowe. Nie byłaby to zresztą, jak śmiem tuszyć chała ani kit, lecz z lekka wesoła pogaduszka. Myślę, że pomysł jest ciekawy i może rozpalić widownię (if any). Czekam na odpowiedź w tej materii.
>
> Przy sposobności przepraszam, że nie przywitałem się z Panem na zebraniu z Zawieyskim, ale byłem tak wściekły na mówcę za te brednie, które plótł jak Piekarski na mękach, żem po prostu uciekł, żeby nie zrobić jakiejś karczemnej awantury. Sztandarowy katolik przyjeżdża z misją politruka i do ludzi mieszkających na Zachodzie prawi dyrdymały w stylu Chandry Umyńskiej lub zebrania komsomolców w Stalinowej Wólce opatrując to cytatami z Papieża. Aż wstyd pomyśleć, jak nisko się potrafią niektórzy stoczyć, gdy im zasmakuje dygnitarstwo. Więc nawet nie mogłem ust otworzyć po tym ponurym widowisku i słuchowisku i wypadłem jak oparzony, byle najdalej.

Kiedyś w naszej korespondencji padła taka opinia Bielatowicza o

wspólnym przyjacielu:

> Wojtka Gniatczyńskiego zgubił obóz niemiecki. Wyszedł z niego zupełnie rozbity fizycznie i chyba nie wróci nigdy do normalnego funkcjonowania intelektualnego. Wielka szkoda.

Kiedy w 1962 roku podjąłem się prowadzenia samemu „Kontynentów" Bielatowicz się ucieszył.

> Mam nadzieję, że pismo to nareszcie posteruje we właściwyn kierunku, tzn. nie zrzekając się odrębności i własnej niezależności, włączy się do nurtu twórczości ogólnonarodowej bez demagogicznego i jałowego efekciarstwa i wystawiania języka wszystkim innym rodakom zajmującym się kulturą poza łamami „Kontynentow". Niech się Pan nie przejmuje „odejścien" różnych obiecujących talentów. Od dziesięciu lat obiecują i niczego nie dokonali. Czaykowski się marnuje – wielka szkoda. Sulika warto utrzymać przy filmie. Ostatnio bardzo ciekawie pisze Darowski. Czerniawski może z pożytkiem pisać o poezji angielskiej, byle sam nie pisał wierszy. Natomiast z lekkim sercem pozbyłbym się Taborskiego jako publicysty. To jest arogant i nic więcej. Jego oceny i wystąpienia mają charakter wieców w powiatowych miasteczkach. Owszem, sporo wie on

> o literaturze angielskiej i gdyby się do tego ograniczyl, mógłby być pożyteczny. Niestety, usiłuje grać rolę proroka. Ta jego pogróżka, że odejdzie „w inny świat” brzmi infantylnie…

Mnie się też dostała jego ironia, kiedy napisał w następnym roku:

> Cieszę się ogromnie, że Pan zechciał rzucić okiem na moją recenzję wierszy Hemara i dziękuję za informację, że są to „zręczne wierszyki”, a nie poezja. Uzbrojony w tę wiedzę, rad bym ją kiedyś uzupełnić Pańskim doświadczeniem, co nazywamy poezją.

O ile pamiętam, sprawa została w zawieszeniu.

O Janie Bielatowiczu:

https://www.cultureave.com/pisarz-ktory-nie-zasluzyl-na-zapomnienie-jan-bielatowicz-1913-1965/

Institut Le Rosey w oczach Polaków

Korespondencja ze Szwajcarii



Le Rosey, Concert Hall, fot. Beata Jaquet.

Beata Jaquet

W Szwajcarii mieszkam od ćwierćwiecza. Jako świeżo upieczona absolwentka iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego postanowiłam na tym nie poprzestać i zaraz po przyjeździe nad Jezioro Lemańskie zapisałam się na anglistykę w Lozannie. Z zainteresowania, a także z przymusu, ponieważ w moim nowym kraju niezbędne były dwa kierunki do nostryfikacji dyplomu. Pewnego dnia mój mąż pokazał mi niecodzienne ogłoszenie opublikowane w lokalnej gazecie: *Institut Le Rosey, międzynarodowa szkoła z internatem, szuka nauczyciela języka polskiego*. Pomyślałam, że to żart, ale mój mąż nalegał „to idealne dla Ciebie!" Z ciekawości przygotowałam mój życiorys i udałam się na rozmowę kwalifikacyjną, po angielsku. Po kilku dniach na mojej automatycznej sekretarce odsłuchałam następującą wiadomość: *This is profesor Higgins speaking, from Le Rosey. I am pleased to inform you that you got the job.* Poczułam się jak Eliza Doolittle z *My Fair Lady…* I natychmiast zabrałam się do odświeżania moich wiadomości z literatury ojczystej. W końcu byłam laureatką Olimpiady Języka Polskiego w liceum i stałam przed wyzwaniem nie do odrzucenia.

I tak uczę języka i literatury polskiej w *Le Rosey* od prawie dwudziestu lat. Co lata w moich wakacyjnych walizkach podróżują podręczniki (ach te reformy szkolnictwa…), antologie, tomiki poezji, filmy i ilustrowane magazyny. W tym roku w moim bagażu znalazły się gadżety *Wiedźmina,* włącznie z nieodzownym wilczym medalionem, niezbędne do inscenizacji na pierwszą

edycję szkolnego Festiwalu Międzynarodowej Książki. Widząc entuzjazm moich uczniów, zaproponowałam im napisanie kilku słów na portal Culture Avenue. Rezultaty są widoczne poniżej.

Tym, którzy zastanawiają się, co się stało z moim hiszpańskim, odpowiadam anatomicznie: odkryłam, że moje serce — a dokładniej mówiąc „moje literackie serce" — ma trzy części („trzy komory"?) Pierwsza należy do Polski (pewnie do Mrożka, którego miałam okazję spotkać w Szwajcarii dzięki Pani Verze Michalski z wydawnictwa *Noir sur Blanc),* druga do Gabo Garcii Marqueza (kiedy pisałam o nim pracę magisterską, wiedziałam, że dostanie Nobla!), a trzecia do… Willa Szekspira.

Zanim oddam głos moim uczniom jeszcze wyjaśnię, jak się zostaje uczniem *Le Rosey*. Rekrutacja odbywa się na podstawie konkursu świadectw. Najlepiej, aby kandydaci mogli się wykazać wszechstronnym profilem: zarówno zainteresowaniami akademickimi, jak i sportowymi i artystycznymi. Wymagana jest również dobra znajomość języka angielskiego (lub francuskiego w sekcji *Bac Français*), aby adaptacja przebiegła jak najszybciej. Po pierwszej selekcji kandydaci zostają zaproszeni do odwiedzenia szkoły. Podczas wizyty odbywa się pisemny egzamin wstępny oraz rozmowy kwalifikacyjne. Pomimo wysokich wymagań rekrutacyjnych i finansowych, o miejsce w *Le Rosey* corocznie ubiega się około 400 kandydatów, a przyjmowanych jest między 80 a 90. Aby instytucja zachowała charakter

międzynarodowy, praktykowany jest *numerus clausus* narodowościowy (nie więcej niż 10 procent każdej narodowości).



Institut Le Rosey w Rolle, fot. Beata Jaquet.

Antoni Bandachowicz, Jan Bandachowicz, Wiktor Marcinkiewicz

Instytut *Le Rosey* to międzynarodowa szkoła prywatna z internatem, w której uczniowie przygotowują się do IB (Matury Międzynarodowej) lub do Baccaularéat Français. W skrócie:

— dwie lokalizacje (główna siedziba w Rolle nad Jeziorem Lemańskim oraz rezydencja zimowa w Gstaad, znanym alpejskim resorcie narciarskim);

— 420 uczniów (chłopców i dziewcząt) z czterech stron świat, mieszkających w internacie;

— 137 lat tradycji i wielu sławnych absolwentów, między nimi bracia Pahlavi, królowie Belgii Baudouin i Albert II, książę Monaco Rainier III; John Casablancas, założyciel agencji modelek Elite i jego syn, piosenkarz francuski Joe Dassin, Sean Lennon, syn Johna, czy Nelson Monfort, popularny francuski dziennikarz sportowy;

— zgodnie z łacińską maksymą „W zdrowym ciele zdrowy duch" program obejmuje lekcje przedmiotów głównych i fakultatywnych, zajęcia sportowe (m.in. sporty wodne i zimowe), a także bogaty program kulturalny. Oferta kulturalna znacznie się powiększyła trzy lata temu, kiedy na terenie rezydencji w Rolle powstała futurystyczna sala koncertowa na 900 miejsc — *Le Rosey* Concert Hall— i szkoła zaczęła regularnie gościć najbardziej renomowane orkiestry świata, jak Berliner Philharmoniker (z Gustavo Dudamel) czy też Royal Philharmonic Orchestra pod dyrekcją Charlesa Dutoit, już trzykrotnie, a w tym roku z Marthą Argerich przy fortepianie). W *Le Rosey* odbywają się również międzynarodowe wydarzenia, jak konferencje TEDex, a od ubiegłego sezonu także letni festiwal teatralny w plenerze.



Przygotowania do koncertu, fot. Beata Jaquet.

O atmosferze szkoły piszą polscy uczniowie?

„Skąd ty jesteś? Z Polski? Ah! Dlatego masz takie dziwne imię…” Do dziś słyszę to zdanie od uczniów z *Le Rosey,* których poznaję. Zazwyczaj pytania różnią się zależnie od tego, skąd pochodzi dana osoba. Azjaci większość czasu pytają „Więc gdzie się znajduje ta Polska na mapie?” Amerykanin z reguły pyta „Wiem, że Polska jest naszym sojusznikiem, ale słyszałem, że macie problemy z demokracją, czy naprawdę jest tak źle? Nie mogę wyobrazić sobie kraju, który nie pozwala na aborcję”.

Czasami Włosi rozmawiają o Papieżu. „Jaki on był mądry! Najlepszy papież z nich wszystkich”.

Najczęściej to Rosjanin zaczyna rozmowę o historii, próbując

przekonać wszystkich, że Polacy nie potrafią walczyć. „Przecież wystarczy spojrzeć na XIX wiek w historii Polski… No tak, przecież nie istniała”, wtedy przypominam ludziom o opanowaniu Moskwy przez Polskę w 1610 roku…

Nawet pan od wf-u zaczął rozmawiać o Polsce, a w zasadzie o jednym z najbardziej znanych sportowców na świecie. „Polska drużyna narodowa w piłce nożnej jest doskonała w tym roku! Lewandowski został królem strzelców w eliminacjach do Mundialu, i ten drugi… Jak mu tam? Blastykowski? To dopiero piłkarze!”

Właściwie każdy chce poznać lepiej Polskę i kulturę polską. Niektórzy próbują się dowiedzieć czegoś o kuchni (pierogi, żurek), albo o historii Polski. A ja za każdym razem chętnie wszystko tłumaczę.

Antoni, uczeń klasy 1



Zimowa rezydencja w Gstaad, fot. Beata Jaquet.

Jak to jest być Polakiem w *Le Rosey*?

Le Rosey jest często uznawana za najdroższą i najbardziej prestiżową szkołę z internatem w Europie, a nawet na świecie. Stworzona w 1880 roku, szkoła znajduje się 30 minut od Genewy, obok małego miasta, o nazwie Rolle. Uczniowie mają tu dostęp do różnych kompleksów sportowych, mogą się uczyć wielu różnych języków, mają nawet możliwość uczestniczenia w największych wydarzeniach kulturalnych, gdyż na terenie szkoły

znajduje się jedna z najpiękniejszych sal koncertowych Szwajcarii. Do *Le Rosey* przyjeżdżają uczyć się dzieci i młodzież ze wszystkich zakątków świata, z różnych kultur mówią różnymi językami. W *Le Rosey* uczniowie z polskim obywatelstwem zdarzają się dość rzadko. Jeżeli już spotkasz tu Polaka, to często okazuje się, że rodzina przez długi czas mieszkała zagranicą, albo jeden z rodziców jest innej narodowości.

Po pierwsze, prawie nikt nie mówi tu po polsku (oprócz nauczyciela języka polskiego). Oznacza to, że młodzież, która tu przyjeżdża musi płynnie porozumiewać się w języku angielskim lub francuskim. Zatem jest to prawie pewne, że po ukończeniu tej szkoły jesteś biegły przynajmniej w trzech językach.

Szkoła oprócz przedmiotów akademickich oferuje cały wachlarz propozycji z dziedziny sztuki, muzyki i sportu. Łączy więc ze sobą to, co oferują w Polsce szkoły muzyczne i sportowe.

Po drugie, Polska dla wielu uczniów, ale też dla sporej grupy nauczycieli, jest krajem ,,egzotycznym". Polska przez wiele lat nie była celem turystycznym, dlatego nasza historia, kultura i obyczaje nie są znane w świecie, a nawet Europejczycy słabo znają Polskę i ciągle wyobrażają ją sobie jako kraj zacofany, a mało kto zna ponad tysiącletnią polską tradycję. Ci, którzy odwiedzą nasz kraj, na ogół są bardzo pozytywnie zaskoczeni. W *Le Rosey* koledzy są zaciekawieni i często szukają informacji o

Polsce w internecie, żeby nas Polaków zaskoczyć, albo o coś spytać. Interesuje ich co jemy, jakie są nasze dania narodowe. Gdy wysyłam zdjęcia z Warszawy lub innych miejsc, bardzo się to kolegom podoba. Nowoczesne budynki robią wrażenie, a budynki stare zadziwiają pięknem i wysoką dbałością o ich utrzymanie. (Myślę, że jakbym zadał pytanie, kto chciałby pojechać do Polski, zgłosiliby się wszyscy koledzy).

W szkołach międzynarodowych polscy uczniowie są uważani za studentów pracowitych. Myślę, że podobną opinię mają uczniowie w *Le Rosey.* Wydaje mi się, że Polacy starający się o przyjęcie do tej szkoły mają spore szanse. Podobnie w przypadku kandydowania na dobre zagraniczne uniwersytety.

Czasami jednak widzę ujemne strony bycia Polakiem. *Le Rosey* jest szkołą z internatem i to znaczy, że dzieci z całego świata żyją i mieszkają razem ze sobą. Jeżeli nie masz brata lub siostry, którzy mówią w tym samym języku ojczystym, czujesz się czasami obco. Brakuje ci bratniej duszy. Z mojego osobistego doświadczenia widzę jak koledzy, którzy pochodzą z tego samego kraju, żartują i mówią o sprawach, które tylko oni znają i rozumieją.

Le Rosey jest bardzo nowym doświadczeniem i przeżyciem dla uczniów, którzy są Polakami. Myślę jednak, że nasza narodowa zdolność do adaptacji pozwala nam się odnaleźć również w *Le*

Rosey. Umiejętność szybkiego uczenia się języków i znajomość sytuacji na świecie ułatwia nam nawiązywanie kontaktów czy zawieranie przyjaźni. Pozwala nam szukać wspólnych wartości, które łączą ludzi z całego świata.

Jan, uczeń klasy 1

Teatr jest jednym z najważniejszych aspektów programu naszej szkoły. Co roku przygotowujemy dwa przedstawienia teatralne: jedno w języku francuskim, a drugie w języku angielskim. Są to zazwyczaj znane i ambitne teksty, które staramy się przedstawić w nowym świetle. Nasze przedstawienia różnią się od tych, jakie pamiętam ze szkoły podstawowej w Polsce. Zbliżają się do profesjonalnych produkcji: prawdziwa scena, efekty specjalne, kostiumy oraz publiczność licząca prawie 900 osób. W ostatnich dwóch latach na deskach teatru *Le Rosey* wystawiono m.in. *Bal złodziei* Jeana Anouilh, *Sen nocy letniej* Szekspira, *Un miracle ordinaire* Evgueni Schwartza oraz *The Rover* Aphry Behn. Uczniowie aspirujący do pracy w teatrze lub w filmie spędzają kilkanaście godzin tygodniowo na samych próbach. Ponadto do dyspozycji mamy najróżniejsze warsztaty oraz *masterclasses* ze znanymi dramaturgami. Ostatnio mieliśmy szansę pracować z Julianem Boalem, synem Augusto Boala- twórcy Teatru Forum. Mamy również możliwość uczestniczenia w wycieczkach teatralnych do Londynu i do miasta Szekspira, Stratford-upon-Avon. Jest to zapewne najprzyjemniejsza i najbardziej kształcąca

część naszej bogatej teatralnej edukacji. I oczywiście, na naszych lekcjach języka polskiego często pojawia się Mrożek. Jego utwory sceniczne są dobre na każdą okazję i idealnie dostosowane do małej liczby aktorów.

Wiktor, uczeń klasy 1



Uczniowie przy pracy nad „Wiedźminem” Andrzeja Sapkowskiego, fot. Beata Jaquet.

Pierwsza edycja Bookfête

Był to piękny, słoneczny dzień w *Le Rosey.* Kompletna cisza panowała na boiskach i w klasach. Słyszeć było tylko śpiew ptaków i daleki głos silnika traktora w polu. Co się stało? Gdzie była młodzież?

W piątek 28 września bieżącego roku, w *Institut Le Rosey* miało miejsce wielkie wydarzenie. Uczniowie oraz nauczyciele zorganizowali pierwszy Festiwal Książki. Był to festiwal bardzo szczególny, ponieważ wszystkie działy języków obcych w *Le Rosey* (a jest ich ponad 30) zaprezentowały literaturę w swoich własnych językach.

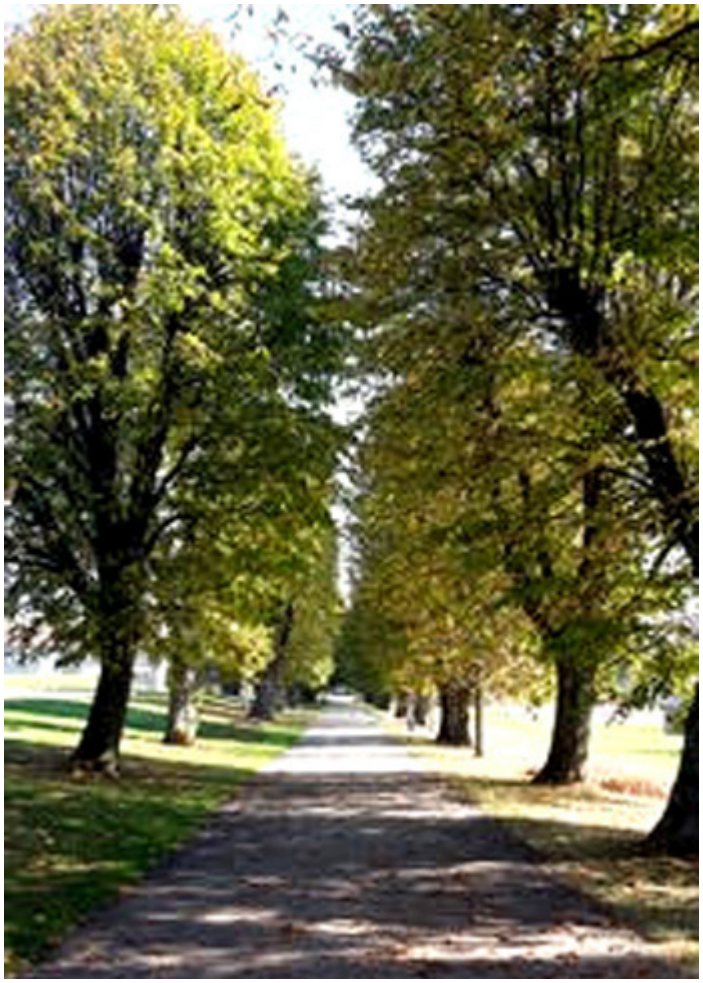
Dzień zaczął się interesującym wywiadem z trzema pisarzami: angielskim autorem literatury podróżniczej Diccon Bewes, z Tanią Crasnianski — adwokatem z wykształcenia — autorką książki *Dzieci hitlerowców* oraz z Pettiną Gappah, prawniczką i pisarką afrykańską, która kreśli krytyczny portret społeczeństwa Zimbabwe po angielsku i w jej ojczystym języku *shona*. Rozmawiali i opowiadali o tym, jak znajdują inspiracje oraz jak współpracują ze swoimi wydawcami.

Pośród zaproszonych gości znaleźli się dziennikarze ze znanych na całym świecie gazet, jak na przykład francuski „Le Figaro". Reporter François Hauter napisał wiele artykułów na temat wojny i podróżował do miejsc, gdzie się ona toczyła.

Uczniowie przygotowali wiele ciekawych warsztatów. Były prezentacje na temat literatury i książek: przykładowe tematy to *czy Manga jest sztuką, poezja perska, Gra o tron — z kart książki na ekran, włoskie publikacje na temat mody, Elena Ferrante, Diary of a Wimpy Kid, literatura o tematyce marynistycznej,*

sztuka recytacji oraz wiele innych. Ponadto zaprezentowane zostały krótkie filmy na temat książek. Jedną z najbardziej interesujących okazała się prezentacja historyczna na temat różnych rewolucji w Europie. Grupa uczniów najpierw przedstawiła przemówienie Lenina (z rewolucji październikowej) i Robespierre'a (z rewolucji francuskiej), a następnie pokazała, że historia lubi się powtarzać.

Naszym udziałem było zaprezentowanie współczesnego bestsellera polskiej literatury, *Wiedźmina* Andrzeja Sapkowskiego. Jest to seria książek z gatunku *fantasy,* a jej popularność jeszcze wzrosła dzięki grze komputerowej o tym samym tytule. Przedstawiliśmy świat *Wiedźmina* i jego związki z mitologią słowiańską, Zaproponowaliśmy również inscenizację fragmentu pierwszego opowiadania z tomu „Ostatnie życzenie", Jako że wielu uczniów interesuje się ekonomią, przeanalizowaliśmy sukces komercyjny *Wiedźmina*, informując w konkluzji, że serial oparty na książkach Sapkowskiego zostanie wkrótce zrealizowany przez internetową spółkę produkcyjną Netflix. Praca nad ta prezentacją sprawiła nam wielką radość.



Aleja kasztanowa, fot. Beata Jaquet.



Międzynarodowy bufet, fot. Beata Jaquet.

Po dyskusji nadszedł czas na obiad, a ponieważ pogoda dopisała, wszyscy jedli w ogrodzie szkoły posiłek przygotowany przez znakomitą ekipę szkolnej stołówki, która w ważnych dla szkoły dniach (jak np. zakończenie roku) potrafi zadowolić podniebienie niemal dwóch tysięcy biesiadników (bo tyle osób „zbierze się", jeśli policzyć uczniów z rodzinami oraz nauczycieli, a także zaproszonych gości).

Ostatnim wydarzeniem była intensywna debata między „czarnymi charakterami" z literatury, takimi jak szekspirowscy Lady Macbeth czy Iago, a nawet baśniowa Baba Jaga.

Przeciwnicy użyli w słownej szermierce ciekawych argumentów.

Podsumowując, pierwsza edycja Festiwalu Książki była bardzo interesującym wydarzeniem literackim o wymiarze międzynarodowym. Dzięki nim mogliśmy poznać kluczowe pozycje literatury z krajów naszych kolegów. Dzielenie się bogactwem kulturalnym naszych rodzinnych stron jednym z najważniejszych komponentów słynnego ESPRIT DU ROSEY.